




Jedna z najlepszych powieści, jakie kiedykolwiek przeczytasz!

**WSZECHŚWIAT  
KONTRA**

**ALEX WOODS**

GAVIN EXTENCE





WSZECHŚWIAT  
KONTRA  
**ALEX WOODS**



GAVIN EXTENCE

Przełożył  
Łukasz Małecki

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału

*The Universe Versus Alex Woods*

Copyright © Gavin Extence 2013

Prawo do uznania Gavina Extence'a za autora

jest zapewnione przez ustawę

o Prawach Autorskich, Wzorach i Patentach z 1988 r.

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Literackie, 2014

Książkę opublikowano po raz pierwszy w Wielkiej

Brytanii w 2013 r. nakładem wydawnictwa

Hodder & Stoughton, należącego do koncernu Hachette

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05342-3





## URABIANIE

W końcu mnie zatrzymali. W Dover, kiedy próbowałem wjechać do kraju. Cóż, tak właściwie to się tego spodziewałem, choć w pierwszej chwili zaskoczyło mnie, że szlaban się nie podnosi. Zabawne, jak pokręcone bywa życie. Dotarłszy tak daleko, chyba już uwierzyłem, że mimo wszystko wrócę do domu bez przeszkód — choćby po to, żeby wytłumaczyć się mamie. No wiecie, bez udziału osób trzecich. Ale wyszło jak wyszło.

Pierwsza w nocy, deszcz. Wjechałem samochodem pana Petersona na pas „Nic do oclenia” i zatrzymałem się przy budce, gdzie służbę pełnił tylko jeden celnik. Całe ciało opierał na łokciach, a podbródek na złączonych dłoniach, ale pomimo tego prowizorycznego rusztowania wydawało się, że w każdej chwili może runąć na podłogę bezwładnie jak worek kartofli. Nocna zmiana, czyli parzywa nuda od zmierzchu aż do świtu... Przez kilka uderzeń serca liczyłem, że mężczyźni zabraknie siły woli, by poruszyć gałkami ocznymi i zerknąć w dokumenty. Ale trwało to krótko. Zaraz potem jego wzrok przesunął się, a powieki szeroko rozwarły. Dał mi znak, że mam czekać, i rzucił kilka słów do walkie-talkie, w pośpiechu, wyraźnie pobudzony. Zorientowałem się, że już po mnie.

Dopiero później odkryłem, że moje zdjęcie od dawna krążyło po wszystkich dużych portach, od Aberdeen po Plymouth. Jeśli dodać do tego apele w telewizji, było jasne, że nie miałem żadnych szans.

Kolejne zdarzenia pamiętam jak przez mgłę. Mimo to opiszę je najlepiej, jak potrafię.

Boczne drzwiczki budki zahuściły się na zawiasach, a mnie owiał zapach łąki pełnej bzów. Doleciał zupełnie znikąd, tak po prostu, a ja zrozumiałem, że będę się musiał bardzo postarać, żeby nie odplłynąć. Z perspektywy czasu wiem, że taki los prędzej czy później był mi pisany. Pamiętajmy, że nie spałem porządnie od kilku dni, a Złe Nawyki Łóżkowe w moim wypadku zawsze stanowiły jeden z czynników wyzwalających. Podobnie jak stres.

Spojrzałem przed siebie, próbując się skupić — na wycieraczkach chłuszczących szybę i na swoich oddechach — kiedy jednak doliczyłem do pięciu, zrozumiałem, że to nie wystarczy. Świat się rozmywał, czas zwalniał swój bieg. Nie miałem wyboru, musiałem podkręcić gałkę radia. Wewnątrz samochodu zagrzmiał *Mesjasz* Händla — „alleluja” chórów wystarczająco głośne, żeby pobudzić zmarłych w grobach. Kurczę, nie planowałem tego, nic z tych rzeczy. Gdybym przygotował się wcześniej na podobną ewentualność, wybrałbym coś prostszego i spokojniejszego: nokturny Chopina albo jedną z suit wiolonczelowych Bacha. Od Zurychu przerabiałem jednak całą dyskografię pana Petersona, a przekorny los postanowił mi spleść figla i tak się akurat złożyło, że w tym momencie słuchałem *Mesjasza*. Nietrudno odgadnąć, że nie zjednałem sobie tym sympatii celnika. Złożył później na policji sprawozdanie, w którym nie omieszkiał wspomnieć, że długo nie pozwalałem się aresztować, bo „siedziałem w aucie, gapiąc się w noc i słuchając na cały regulator muzyki reli-

gijnej, jakbym był jakimś Aniołem Śmierci”. Pewnie już to słyszeliście — cytat trafił do wszystkich gazet. Pismaki ślinią się z radości, kiedy słyszą takie kawałki. Musicie zrozumieć, że to był zwykły przypadek. Kątem oka zarejestrowałem funkcjonariusza w jaskrawożółtej kurtce, zgarbionego nad oknem od mojej strony, ale zmusiłem się, by nie zwracać na niego uwagi. Zaświecił mi latarką w oczy, co też zignorowałem. Po prostu patrzyłem przed siebie i słuchałem muzyki, uchwycony jej jak kotwicy. Bzy wciąż tam były, robiły wszystko, żeby mnie rozkojarzyć. Potem pojawił się kolejny intruz — Alpy. Postrzępione, pokryte zmarzliną wspomnienia, ostre jak igły. Utopiłem je w muzyce. Nie istniało dla mnie nic prócz strun, bębnów, trąbek i niezliczonych głosów wychwalających Pana. Rzeczywiście musiałem wyglądać dość podejrzanie: znieruchomiały w samochodzie, ze szklistymi oczami, a w tle muzyka rozrywająca bębenki, jakbym wiózł na tylnym siedzeniu Londyńską Orkiestrę Symfoniczną. Ale co mogłem poradzić? Tak potężna aura nie mija samoczynnie. Szczerze mówiąc, już od kilku miesięcy stałem nad przepaścią i tylko krok dzielił mnie od katastrofy.

Na szczęście po jakimś czasie udało mi się zażegnać kryzys. Jakiś trybik wskoczył na swoje miejsce, a ja zarejestrowałem półprzytomny, że światło latarki przesuwają się w bok i zamiera niecały metr po mojej lewej stronie. W tamtej chwili byłem zbyt wyczerpany, żeby odgadnąć dlaczego. Dopiero później przypomniałem sobie, że pan Peterson wciąż znajdował się na siedzeniu pasażera. Zapomniałem go schować.

Upłynęło kilka chwil i w końcu smuga światła uciekła z samochodu. Zdołałem obrócić głowę o czterdzieści pięć stopni i zauważyłem, że celnik gada do walkie-talkie,

wyraźnie wzburzony. Następnie zapukał latarką w okno i zdecydowanym ruchem machnął w dół. Nie pamiętam, żebym wciskał guzik, ale uderzyła mnie fala zimnego, wilgotnego powietrza, kiedy szyba zaczęła się opuszczać. Celnik coś powiedział, jednak nic nie rozumiałem. W następnej chwili sięgnął do wnętrza samochodu i wyciągnął kluczyk ze stacyjki. Silnik zgasł, a głośne „alleluja” umknęło wraz z podmuchem nocnego wiatru. Słyszałem szelest deszczu na asfalcie — z każdą sekundą coraz głośniejszy, jakby rzeczywistość wracała na swoje miejsce. Celnik wciąż coś mówił, wykonując rękami osobliwe, zamaszyste gesty, ale mój mózg nie był w stanie rozszyfrować jego słów. Stało się coś jeszcze — dotarło do mnie, że jakaś myśl szuka ujścia z mojej głowy. Minęła cała wieczność, zanim wreszcie przekulem ją w słowa:

— Proszę pana, obawiam się, że nie jestem w stanie dłużej prowadzić samochodu. Jeśli chce go pan przestawić, musi pan poprosić kogoś o pomoc.

Z jakiegoś powodu ta informacja odebrała mężczyźnie mowę. Wykrzywił twarz w serii dziwacznych grymasów, a potem przez dłuższą chwilę gapił się na mnie z rozdziawionymi ustami. Gdybym to ja zachował się tak jak on, prawdopodobnie posądzono by mnie o nieuprzejmość, ale osobiście sędzę, że nie warto robić zamieszania o takie drobiazgi. Postanowiłem nie reagować. Powiedziałem już wszystko, co chciałem powiedzieć, a ponieważ kosztowało mnie to sporo wysiłku, nie przeszkadzało mi czekanie.

Oczyściwszy chrząknięciem drogi oddechowe, celnik kazał mi wysiąść z samochodu i iść za nim. Zabawne, gdy tylko wydał polecenie, uświadomiłem sobie, że jeszcze nie jestem gotowy na ruch. Moje pobielące dłonie zaciskały się na kierownicy i nic nie wskazywało na to,



że w najbliższym czasie ją puszcza. Zapytałem, czy mogę jeszcze chwilę posiedzieć.

— Chłopcze — odparł celnik — natychmiast wyjdź z samochodu.

Spojrzałem na pana Petersona. Mężczyzna zwrócił się do mnie słowem „chłopcze”, a to nie mógł być dobry znak. Prawdopodobnie wpadłem po uszy w kłopoty.

Palce puściły kierownicę.

Wygramoliłem się na zewnątrz, zatoczyłem i oparłem o auto. Celnik próbował mnie poganiać, ale wytłumażyłem mu, że potrzebuję jeszcze chwili, żeby dojść do siebie, chyba że zamierza nieść mnie na rękach. Czułem łaskotanie deszczu na twarzy i nieosłoniętej skórze szyi, a na moim ubraniu zbierały się krople wody. Musiał minąć kolejny moment, by zmysły mogły się zreorganizować. Zapytałem, jak długo pada, ale mężczyzna tylko na mnie spojrzał. Jego wzrok dobitnie sugerował, że nie ma ochoty na pogaduszki.

Radiowóz zabrał mnie na przesłuchanie do pokoju C na komisariacie w Dover, ale wcześniej musiałem czekać w kontenerze mieszkalnym w głównej części portu. Trwało to strasznie długo. W tym czasie miałem okazję poznać wielu pracowników władz portowych, nikt jednak nie chciał ze mną rozmawiać. Wydawali mi tylko proste, kilkuwyrazowe instrukcje — „zaczekaj tutaj”, „nie ruszaj się” — i niczym chór z antycznej tragedii informowali po kolei, co ze mną będzie. Na dodatek co chwilę pytali, czy rozumiem — jakbym był jakimś kretyńcem. Z drugiej strony możliwe, że właśnie takie sprawiałem wrażenie. Trudno powiedzieć. Jeszcze nie doszedłem do siebie po napadzie — byłem zmęczony, moja koordynacja ruchowa szwankowała i ogólnie rzecz biorąc, czułem się oderwany

od rzeczywistości, jakby ktoś obwiązał moją głowę watą. Chciało mi się też pić, ale wolałem nie pytać, czy mają tu gdzieś automat z wodą, żeby nie pomyśleli, że zgrywam cwaniaka. Jak pewnie sami wiecie, kiedy człowiek wpada w tarapaty, takie proste, uzasadnione pytania zwykle tylko pogarszają jego sytuację. Nie wiem dlaczego. Zupełnie jakby istniała jakaś niewidzialna granica, po przekroczeniu której ludzie przestają dostrzegać istnienie tak banalnych rzeczy, jak automat z przekąskami i dietetyczną colą. Chyba niektóre sytuacje są po prostu zbyt poważne, żeby je trywializować, ostentacyjnie spożywając napoje gazowane.

Tak czy inaczej, w końcu pojawił się radiowóz i zabrał mnie na przesłuchanie, gdzie moja sytuacja bynajmniej się nie poprawiła. Pokój C był niewiele większy od kredensu i urządzony iście po spartańsku: puste ściany i podłoga, pośrodku prostokątny stół z czterema plastikowymi krzesłami, a wysoko na tylnej ścianie okienko, którego chyba nie dało się otworzyć. Na suficie zauważyłem czujnik dymu, a w kącie, na prawo od niego, kamerę. To tyle, jeśli chodzi o wystrój wewnątrz — nie było nawet zegara ściennego.

Posadzono mnie i zostawiono samego. Dłużyły mi się upływające minuty. Może celowo kazali mi czekać, żebym poczuł się nieswojo? Ale to tylko jedna z hipotez. Na szczęście lubię spędzać czas we własnym towarzystwie i zawsze znajduję sobie jakieś ciekawe zajęcie. Znam chyba z milion ćwiczeń, które pozwalają mi się skupić i zachować spokój.

Najtrudniej zmusić umysł do działania, kiedy jesteś zmęczony, ale z jakiegoś powodu musisz zachować czujność. Zacząłem odmieniać nieregularne czasowniki języka hiszpańskiego, począwszy od *Presente de Indicativo*,

poprzez bardziej skomplikowane czasy i formy. Nie mówiłem ich na głos, świadomy obserwującej mnie kamery, ale powtarzałem je w głowie, kładąc nacisk na właściwą wymowę i akcenty. Dotarłem do *entendiendo*, imiesłowu od *entender*, rozumieć, gdy otworzyły się drzwi, a do pomieszczenia weszli dwaj policjanci. Jeden z nich trzymał podkładkę z dokumentami i to był ten, z którym przyjechałem na posterunek. Drugiego, starszego, nigdy wcześniej nie widziałem. Obaj wyglądali na wkurzonych.

— Dzień dobry, Alex. Nazywam się inspektor Hearse — przedstawił się ten, którego nie kojarzyłem. — Podinspektora Cunninghama poznałeś już wcześniej.

— Zgadza się — odparłem. — Dzień dobry.

Nie będę zanudzać was opisami inspektora Hearse'a ani podinspektora Cunninghama. Profesor Treadstone, mój dawny nauczyciel angielskiego, często mówił, że chcąc scharakteryzować postać, nie trzeba wymieniać wszystkich detali. Zamiast tego wystarczy podać jedną wyrazistą cechę, żeby pobudzić wyobraźnię czytelnika. Inspektor Hearse miał na prawym policzku pieprzyk wielkości pięciopensówki, natomiast podinspektor Cunningham najbardziej lśniące buty, jakie kiedykolwiek widziałem.

Usiedli naprzeciwko mnie i pokazali gestem, że ja też powinienem usiąść. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że podniosłem się z krzesła, kiedy weszli do pokoju. Tego między innymi uczą w mojej szkole — należy wstać, kiedy do klasy wchodzi dorosły. Prawdopodobnie wyraża się w ten sposób szacunek, jednak po pewnym czasie robi się to odruchowo.

Przez chwilę wpatrywali się we mnie w milczeniu. Chciałem odwrócić wzrok, ale doszedłem do wniosku, że byłoby to nieuprzejme, patrzyłem więc na nich, czekając.

— Wiesz co, Alex — zaczął w końcu inspektor Hearse.  
— Narobiłeś niezłego zamieszania przez ostatni tydzień.  
Można powiedzieć, że zostałeś gwiazdą.

Od samego początku nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. Nie miałem bladego pojęcia, co ten człowiek chce ode mnie usłyszeć, a ponieważ na pewne sytuacje nie da się sensownie zareagować, milczałem. Po czym wzruszyłem ramionami, co w tych okolicznościach nie było chyba najmądrzejsze, ale czasami trudno się powstrzymać.

Inspektor Hearse podrapał się po pieprzyku.

— Zdajesz sobie sprawę, że wpadłeś w poważne tarapaty?

Nie umiałem powiedzieć, czy to pytanie, czy raczej stwierdzenie faktu, więc na wszelki wypadek kiwnąłem głową.

— A czy wiesz, dlaczego w nie wpadłeś?

— Tak. Chyba się domyślał.

— I rozumiesz, że sytuacja jest bardzo poważna?

— Tak.

Inspektor Hearse spojrział w stronę podinspektora Cunnnghama, który dotychczas nie odezwał się ani słowem. Po chwili przeniósł wzrok na mnie.

— Problem polega na tym, że twoje działania na to nie wskazują. Gdybyś naprawdę rozumiał, jak poważne masz kłopoty, martwiłbyś się o swoją przyszłość. Ujmę to tak: będąc na twoim miejscu, bardziej byłoby po mnie widać strach.

Już chciałem go poprawić, że powinien powiedzieć: „gdybym był na twoim miejscu” — akurat przerabiałem imiesłowy, więc od razu zauważyłem błąd — ale ostatecznie tego nie zrobiłem. Pan Peterson zawsze powtarzał, że ludzie nie lubią być poprawiani. Twierdził, że wytykając

innym błędy gramatyczne w rozmowie, wychodzę na Niezłego Dupka.

— Powiedz mi coś, Alex — ciągnął inspektor Hearse — czy ty się w ogóle martwisz? Bo biorąc pod uwagę okoliczności, wydajesz się trochę zbyt spokojny. I zrelaksowany.

— Nie mogę sobie pozwolić na zbyt duży stres — odparłem. — To mi szkodzi.

Inspektor Hearse odetchnął głęboko, po czym znów spojrzął na swojego kolegę i kiwnął głową. Podinspektor Cunningham podał mu jakąś kartkę z podkładki na dokumenty.

— Alex, przeszukaliśmy samochód. I chyba się ze mną zgodzisz, że trzeba omówić kilka spraw.

Przytaknąłem, bo przychodziła mi do głowy przynajmniej jedna taka sprawa. Wtedy jednak inspektor Hearse zaskoczył mnie po raz kolejny: nie zapytał, czy wiem, co chce ze mną omówić, i zamiast tego kazał mi wyrecytować imię, nazwisko i datę urodzenia. Na moment zbiło mnie to z tropu. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, wydawało się to stratą czasu — przecież już wiedzieli, kim jestem, mieli mój paszport. Dlaczego nie przejść od razu do sedna? Ale nie było wyboru, musiałem grać według ich reguł.

— Alexander Morgan Woods — powiedziałem. — Dwudziesty trzeci dziewiąty tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci.

Nie mogę powiedzieć, że bym przepadał za swoimi imionami — szczególnie drugie nie wzbudza mojego zachwytu. Na szczęście większość ludzi zwraca się do mnie krótko „Alex”, tak jak ci policjanci. Kiedy ktoś ma na imię Alexander, mało komu chce się wymawiać pełne imię. Nawet mojej mamie się nie chce — skróciwszy mnie o dodatkową sylabę, mówi do mnie po prostu „Lex”, jak Lex Luthor, a musicie wiedzieć, że wymyśliła to, na długo

zanim straciłem włosy. Wcześniej uważała, że takie zdrobienie brzmi słodko. Później, że było prorocze.

Zmarszczywszy brwi, inspektor Hearse odwrócił się do podinspektora Cunninghama i ponownie skinął głową. Wciąż to robił, jakby był magikiem, a podinspektor Cunningham jego asystentem odpowiedzialnym za przygotowanie rekwizytów.

Podinspektor Cunningham ściągnął z podkładki na dokumenty plastikowy woreczek i rzucił go na środek stołu, gdzie upadł z cichym plaśnięciem. Okropnie dramatyczny gest, dając słowo. Od razu zorientowałem się, że właśnie taki efekt chcieli uzyskać. Policja posługuje się całą gamą psychologicznych sztuczek, ale pewnie już to wiecie, jeśli oglądacie telewizję.

— W przybliżeniu sto trzynaście gramów marihuany — wyjaśnił inspektor Hearse — wyjęte ze schowka na rękawiczki w twoim samochodzie.

Będę z wami zupełnie szczery — zapomniałem o trawce, a schowka na rękawiczki nie otwierałem od Szwajcarii. Nie miałem ku temu powodów. Spróbujcie to jednak wytłumaczyć przedstawicielom władz o drugiej w nocy, po zatrzymaniu przez urzędnika celnego.

— To całkiem sporo trawki, Alex. Wszystko na użytek własny?

— Nie — rzuciłem, ale szybko zmieniłem zeznania. — Właściwie tak. To znaczy trawka była na użytek własny, ale nie mój użytek własny.

Brwi inspektora Hearse'a uniosły się wyjątkowo wymownie.

— Twierdzisz, że te sto trzynaście gramów marihuany nie jest twoje?

— Nie, trawka należała do pana Petersona.

— Rozumiem... — inspektor Hearse znów podrapał się po pieprzyku i pokręcił głową. — W aucie znaleźliśmy też dużą ilość gotówki. — Spojrzał w dół na listę. — Sześćset czterdzieści pięć franków szwajcarskich, osiemdziesiąt dwa euro i trzysta osiemdziesiąt funtów szterlingów, w kopercie w schowku na drzwiach kierowcy, obok twojego paszportu. To całkiem sporo pieniędzy jak na siedemnastolatka, nie uważasz?

Milczałem.

— Alex, to bardzo ważne. Co dokładnie planowałeś zrobić ze stu trzynastoma gramami marihuany?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

— Nie wiem, nie miałem żadnych planów. Chyba bym ją wyrzucił. Albo oddał.

— Może byś ją o d d a ł?

Wzruszyłem ramionami. To byłby naprawdę klawy prezent dla Ellie, na pewno by się ucieszyła, ale zachowałem tę uwagę dla siebie.

— Ta trawka to nie był mój interes — stwierdziłem. — To znaczy, przyjemnie się ją uprawiało, ale to wszystko. Na pewno nie zamierzałem jej zatrzymywać.

Podinspektor Cunningham zaczął nagle głośno pokasływać. Ponieważ był to pierwszy dźwięk, jaki doleciał z jego strony, podskoczyłem ze strachu na krześle. Wcześniej wydawało mi się, że jest niemy albo coś w tym rodzaju.

— To ty ją wyhodowałeś?

— Tak, na prośbę pana Petersona.

— Rozumiem. Wyhodowałeś ją, a potem oddałeś. Czyli to było w gruncie rzeczy przedsięwzięcie charytatywne?

— Nie. To znaczy marihuana tak naprawdę nigdy nie była moja. Od początku należała do pana Petersona, więc nie mogłem jej nikomu oddać. Ja ją tylko uprawiałem.

— Jasne. Uprawiałeś ją, ale nie miałeś w tym żadnego interesu.

— Oprócz farmakologicznego.

Inspektor Hearse spojrział na podinspektora Cunninghama, a potem przez jakąś minutę stukał palcem o blat.

— Alex, zapytam jeszcze raz — odezwał się w końcu. — Czy przyjmujesz narkotyki? Jesteś teraz pod wpływem substancji odurzających?

— Nie.

— A czy kiedykolwiek przyjmowałeś narkotyki?

— Nie.

— Okej. W takim razie będziesz musiał mi coś wyjaśnić. — Podinspektor Cunningham podał mu kolejną kartkę. — Rozmawialiśmy z urzędnikiem z odprawy celnej. Człowiek ten twierdzi, że zachowywałeś się bardzo dziwnie. Podobno kiedy próbował cię zatrzymać, odmawiałeś współpracy. A dokładnie powiedział: „Podejrzany podkreślił gałkę radia w samochodzie tak bardzo, że chyba słyszeli muzykę we Francji. Następnie postanowił ignorować mnie przez kilka minut. Patrzył przed siebie, a oczy miał szkliste. Kiedy w końcu udało mi się sprawić, że opuścił szybę, poinformował mnie, że nie jest w stanie prowadzić”.

Inspektor Hearse odłożył kartkę na stół i spojrział mi w oczy.

— Zechcesz nam to jakoś wyjaśnić, Alex?

— Choruję — wyznałem szczerze. — Tak się składa, że akurat w tamtej chwili dostałem częściowego napadu padaczki psychomotorycznej.

Inspektor Hearse znów uniósł brwi, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy, jakby moje wyjaśnienia były ostatnią rzeczą, której się spodziewał.

— Chorujesz na padaczkę?



— Tak.

— Nikt mnie o tym nie poinformował.

— Mam napady od dziesiątego roku życia. Zaczęło się zaraz po wypadku. — Dotknąłem mojej blizny. — W wieku dziesięciu lat...

Inspektor Hearse pokiwał niecierpliwie głową.

— Tak, wiem o twoim wypadku. Wszyscy o nim wiedzą. Ale nikt mi nie wspominał, że cierpisz na padaczkę.

Wzruszyłem ramionami.

— Od prawie dwóch lat nie miałem napadu.

— Ale dostałeś go dzisiaj, w samochodzie, zgadza się?

— Tak. To dlatego nie byłem w stanie prowadzić.

Inspektor Hearse przyglądał mi się długo, aż w końcu potrząsnął głową.

— Tak się składa, że pan Knowles przekazał nam prawdę szczegółowe sprawozdanie i słowem nie wspominał o ataku. Chyba zauważyłby coś takiego, nie sądzisz? Stwierdził tylko, że siedziałeś w całkowitym bezruchu i nie wyglądałeś na wzburzonego. Wręcz przeciwnie, jego zdaniem, zważywszy na okoliczności, wydawałeś się nieco zbyt spokojny.

Wyglądało na to, że ten mój spokój naprawdę działał inspektorowi na nerwy.

— To był napad c z ę ś c i o w y — powtórzyłem. — Nie straciłem przytomności i nie dostałem konwulsji. Udało mi się go opanować, zanim zdążył przejść w coś gorszego.

— I to jest całe twoje wyjaśnienie? — chciał się upewnić inspektor Hearse. — Jeśli pobierzemy ci krew do badania, niczego w niej nie znajdziemy? Nie przyjmowałeś żadnych środków?

— Nie. Tylko karbamazepinę.

— Czyli?

— Lek przeciwko padaczce.

Inspektor Hearse zrobił taką minę, jakby chciał spluć. Był przekonany, że się wygłupiam. Powiedział, że nawet jeśli mówię prawdę — jeśli choruję na padaczkę psychomotoryczną, a w aucie dostałem częściowego napadu — według niego nie tłumaczy to mojego zachowania. Przecież znaleźli w schowku na rękawiczki sto trzynaście gramów marihuany, a ja nie traktowałem tego faktu wystarczająco poważnie.

— Bo nie uważam, żeby sytuacja była aż tak poważna — przyznałem. — Nie w ogólnym rozrachunku.

Inspektor Hearse popadł w zadumę i po dziesięciu minutach stwierdził, że posiadanie substancji niedozwolonej z prawdopodobnym zamiarem wprowadzenia jej do obiegu to w rzeczywistości Bardzo Poważna Sprawa, jeśli zaś uważam inaczej, to robię sobie jaja lub, bez cienia wątpliwości, jestem najbardziej naiwnym siedemnastolatkiem, jakiego kiedykolwiek spotkał.

— Nie jestem naiwny — odpowiedziałem. — Pan ma swoje zdanie, a ja swoje. To nic innego jak najzwyklejsza różnica światopoglądów.

Nie muszę chyba nikogo zapewniać, że jeszcze długo drążyli temat narkotyków. Znalazłem się w dość osobliwej sytuacji — im bardziej próbowałem być szczerzy i otwarty, tym mniej mi wierzyli. W końcu musiałem powiedzieć, że d o m a g a m s i ę badania krwi, uznawszy, że ze mną mogą się kłócić po dzień Sądu Ostatecznego, ale z nauką na pewno nie. Kiedy jednak zacząłem upominać się o swoje prawa, stwierdzili, że pora przejść do innych tematów. Wciąż pozostawała nam pewna kwestia do omówienia, którą powinniśmy byli zająć się w pierwszej kolejności, ale, jak już wspominałem, policjanci potrafią sięgać po bardzo dramatyczne środki, jeśli im się wydaje, że w ten sposób osiągną lepsze wyniki.

— Dobrze, ostatni przedmiot na liście... — zaczął inspektor Hearse. Oparł łokcie o stół, objął dłońmi głowę i długo wpatrywał się w blat, nic nie mówiąc.

Czekałem.

— Ostatni przedmiot — powtórzył — to nieduża srebrna urna ściągnięta z siedzenia pasażera. Waga około czterech kilogramów i ośmiuset gramów.

Szczerze mówiąc, nie byłem pewien, dlaczego uznali za konieczne zważyć urnę.

— Alex, muszę o to zapytać: czy zawartość tego pojemnika...


Inspektor Hearse spojrzał mi w oczy. Zrozumiałem, że nie zamierza dokończyć pytania, którego siłą rzeczy od razu się domyśliłem. Naprawdę miałem serdecznie dość tych psychologicznych gier, bo byłem zmęczony i chciało mi się pić. Nie sprawdzając, czy inspektor Hearse postawi kropkę nad i, kiwnąłem głową i powiedziałem to, co chciał wiedzieć:

— Tak. To jest właśnie pan Peterson.

Nietrudno zgadnąć, że znów zasypali mnie gradem pytań. Oczywiście najbardziej interesowało ich wszystko, co wydarzyło się w ciągu zeszłego tygodnia, ale jeśli mam być szczerzy, nie jestem jeszcze gotowy, by o tym mówić. Chyba nie ma to sensu — a w tamtej sytuacji miało jeszcze mniej. Inspektor Hearse podkreślił, że chce usłyszeć „jasne, treściwe i pełne” wyjaśnienie okoliczności, które doprowadziły do mojego zatrzymania podczas kontroli celnej ze stu trzynastoma gramami marihuany i prochami pana Petersona w samochodzie. Od początku stałem na straconej pozycji. Bywa, że gdy ludzie proszą cię o pełne wyjaśnienie, ty doskonale wiesz, że tak naprawdę oczekują czegoś całkiem innego. Marzy im się krótkie podsumowanie,

które potwierdzi ich dotychczasowe przypuszczenia — coś, co będzie pasować do odpowiedniej rubryki w policyjnym formularzu. Ale gdy pełne wyjaśnienia mają bardziej chaotyczny charakter, nie da się ich przedstawić ad hoc w ciągu pięciu minut przerywanych zeznań. Potrzebują czasu, żeby się w pełni ujawnić.

Właśnie dlatego chciałbym opowiedzieć wam moją historię w całości i od samego początku — właśnie od tego miejsca, od którego policja nie pozwoliła mi zacząć — tak jak moim zdaniem powinna być opowiedziana. Obawiam się, że trochę to potrwa.



Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki  
na [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)